

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Szanowny panie Jerzy!

W pierwszych słowach mego listu chcę powiedzieć, że ja, szara mysz wyborcza, martwię się o pana!

Parlamentarny krawiec dał w igłę. Wiadział pan to? Rano Yves Saint Laurent robił, co mógł (o ile szaty naszej władzy konstruuje Yves Saint) – a po południu premier ostateczną wypowiedź o wicepremierze Lepperze do natychmiastowego uwierzenia narodowi via TV podawał. Śledził pan tę jazdę intelektualną? Gdy premier wygłaszał, przypominały mi się wszystkie grzechy moje... Mniejsza z tym.

Gdy, niwelując Leppera, Demostenes zdobywał fundamentalne słowo „warchoł” – usłyszałem: „warhoł”. Nic na to poradę. Usłyszałem legendarne, przyduchowe „hy”! Ucho nie złowiło kluczowego „cy”, bo w miejscu „cy” ucho złowiło trzask szwu na karku Demostenesa! Tak, Yves Saint Laurent nie znalazł nici godnej myśli retora. No i puściły szaty w czwartek. A może miałem omamy Trąbki Eustachego?

Jeśli jednak boskie szaty istotnie puściły, niechaj ci, co szyją, wiedzą, iż są na świecie karki nie do okiełznania. Niech Yves Saint pojmie, że władza, na której nie leży żadna odzież, to władza nie z tego świata. Całkiem jak Siemon Jepichodow – postać nie z rzeczywistości, bo wymyślona przez Antoniego Czechowa. Jepichodow! Czego by ten „premier” wiecznych fiask na pletwy swe nadzwyczajnie niecelne nie wzuł, albo i wzuł – wiekopomnie skrzypiał w „Wiśniowym sadzie”. Nawet jak siedział! Nawet jak spał! Nawet jak go nie było!

A skoro już jesteśmy przy teatrze, panie Jerzy, wróćmy do istoty mego listu. Podobno nie bardzo wiadomo, gdzie naprawdę rzeński teatr dziś jest – w TV, w życiu, w gazecie, w teatrze jako takim czy też w... No, gdzie? Spekulują domorośli relatywiści. A ja przypomnę starą prostotę: jeśli człowiek słyszy, że „obiad” to „obiati” – musi

iść do teatru. I poszedłem. Na pana „Pyzę...”

Powtarzam: martwię się o losy pana. Byłem, widziałem, jak dziecko się bawiłem – i już wiem. Otóż, jakby minister od patriotyzmu Roman Giertych był tam ze mną, gdyby zobaczył wyreżyserowaną przez pana „Pyzę na polskich drózkach”, to na niwie patriotyzmu miałby pan w Sejmowej Komisji Etyki – przerąbane. Za lekko, panie Jerzy! Nie według mnie za lekko, ale według tych, co dziś kciuka w dół albo w górę kierują – stanowczo za mało koturnowo.

Zamiast z wierszowanych opowiadań Hanny Januszewskiej mszę za bitwę pod Grunwaldem zrobić, miast brokatem wąs Ziobry krasić, zamiast spływ Dunajcem pokazać jako jazdę po ocalenie Polski – zrobiłeś pan spływ po patriotycznej lekkości.

Żadnych koturnów. Cienia zadęcia. Najlichszych wiatrów, co się w fale Mazurka Dąbrowskiego czule układają. Gdy u pana, wedle podróżniczego zamysłu Januszewskiej, aktorzy i tancerki słowo po słowie, nuta po nucie, piruet po piruecie Polskę okrążali z lekkością motyla – czułem, że to ludzie, co wiedzą, iż dziadek Pyzy w 1410 na trawach pod Grunwaldem nie był Ulrichem von Jungingenem.

Mieć na karku komisję sejmową w sprawie krzyżackich przodków Pyzy... Cóż, nie zazdroszczę. Ale zazdroszczę dzieciom. Zrobiłeś pan dwugodzinny śpiewogrę, która jest pełna Polski – przyjemnej. Żadnego stawiania na baczność, żadnych też wielkości dzwonu Zygmunta, żadnej nachalnej obowiązkowości. Dwie godziny delikatnej gry z konwencją rocznicowych akademii. Teatralne wędrowanie po Polsce, która nie jest, Boga chwalić, żadnym ołowianym obowiązkiem zbiorowym, jeno czystą radością. Pojedynczą radością każdego z nas z osobna.

Krótko mówiąc, martwię się o pana, bo w kraju, gdzie obowiązują nie „obiady”, jeno „obiaty”, teatr, w którym obowiązuje „pyza”, a nie „pysa” – może być spalony. Nie zmienia to jednak faktu, że bez względu na grozę sztandarów i hymnów, po pana bąśni wędrującej chłopcy pragną do wsi Grunwald jechać nie po to, by na kolana paść, lecz by gorzały się napić. Bani łakną nie ku czci Jagiełły, lecz w sprawie takiej oto, że pić się mianowicie chce. Amen.

Teatr Ludowy. „Pyza na polskich drózkach” wg Hanny Januszewskiej. Reżyseria Jerzy Fedorowicz. Opracowanie muzyczne Jerzy Kluzowicz. Scenografia Elżbieta Krywsza.

PS Z drukowanego u nas listu Krzysztofa O. – dyrektora naczelnego i artystycznego Teatru im. J. Słowackiego – listu tyżącego mego felietonu o przedstawieniu „Nocny azyl”, wynika niezbiecie, że Krzysztof O. jest niewinny. No i chwalić Boga! Raduję mnie, że Krzysztof O. uniknie aresztu, ale martwi, że w polemice z mym pisanem pięknie ocalały Krzysztof O. używa określeń: takt i kultura. Na miejscu Krzysztofa O. – który z racji pełnionej funkcji odpowiada za „takt” arcydzieła „Opera za trzy grosze” oraz za „kulturę” perły „Miarka za miarkę” – kategorii „taktu” oraz „kultury” nie używałbym nawet w polemice z psem Pluto. I rzecz finalna. Krzysztof O. ma do mnie wyraźne anse, iż nie dość, że nie jestem Boyem, to i nie jestem Słomskim. Cóż począć... Powinien pan mieć pretensje do rodziców, a nie do mnie. Jakby się pańscy rodzice pospieszyli, to kto wie? Może ansambl przez pana prowadzony szatkowali by na zmianę Boy i Słomimski?... Jest jak jest. Dziś już nic nie da się zrobić. Dzieła pana szatkował będę ja. Spokojnie. Będzie dobrze. I proszę się nie lękać. W istocie – delikatny jestem. Nawet pan nie poczuje, że już po ptakach...